

W. BRUCE CAMERON

AUTOR BESTSELLERÓW *BYŁ SOBIE PIES*  
*I O PSIE, KTÓRY WRÓCIŁ DO DOMU*



O PSIE,  
KTÓRY DAŁ  
SŁOWO



W. BRUCE CAMERON

O PSIE,  
KTÓRY DAŁ  
SŁOWO

PRZEŁOŻYŁA  
Edyta Świerczyńska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*A Dog's Promise*

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Agata Garbowska

Redakcja: Adrian Kyc

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Dora Zett / Shutterstock.com

DTP: Maciej Grycz

A DOG'S PROMISE

Copyright © 2019 by W. Bruce Cameron

All rights reserved.

Copyright © 2021 for the Polish edition

by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-65601-26-1



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:  
[www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

## *Prolog*

Jestem Bailey. Miałem mnóstwo imion i przeżyłem niejedno życie, ale teraz nazywam się Bailey. To dobre imię. A ja jestem grzecznym pieskiem.

Mieszkałem w wielu miejscach, z których najcudowniejsza była Farma – dopóki nie trafiłem tutaj. To miejsce nie ma nazwy, ale są tu złociste brzegi do hasania, idealnie leżące w pyszczku piłki i patyki, piszczące zabawki, a co najważniejsze, wszyscy ludzie, którzy kiedyś mnie kochali i nadal kochają. Naturalnie jest tu również całe zatrzęsienie innych piesków, bo bez nich tego miejsca nie można by nazwać rajem.

Jestem kochany przez tylu ludzi, ponieważ przeżyłem wiele żyć pod różnymi imionami. Byłem Tobym i Molly, i Ellie, i Maxem, i Koleżką, i Baileyem. Odradzałem się w tak wielu wcieleniach, gdyż za każdym razem musiałem wykonać inną misję. Teraz mam proste zadanie: stać u boku moich ludzi i kochać ich. Może tak miało być od samego początku.

Tu nie ma bólu, jest tylko radość płynąca z wszechogarniającej miłości.

W tej oazie spokoju czas nie istniał, dopóki pewnego razu nie przyszli ze mną porozmawiać mój chłopiec Ethan i moja dziewczynka CJ. CJ to dziecko Ethana. Gdy się pojawili, usiadłem czujnie, ponieważ ze wszystkich, których kochałem, ta dwójka odgrywała najważniejsze role w moim życiu i zachowywała się jak ludzie, którzy mają dla swojego psiaka jakieś zadanie.

– Cześć, Bailey, nasz ty grzeczny piesku – przywitał się ze mną Ethan. CJ wygładziła mi sierść na grzbiecie.

Przez dłuższą chwilę tylko okazywaliśmy sobie miłość.

– Wiem, że jesteś świadom swoich wcześniejszych wcieleń, Bailey. I wiem, że wysłano cię z ważną misją, żebyś mnie uratował – powiedział Ethan.

– Mnie też uratowałeś, Bailey, moja kochana Molly, mój Maksiu – dodała CJ.

Na wspomnienie tych imion przypomniałem sobie, jak towarzyszyłem jej w życiowej drodze, i aż zamerdałem ogonem. Dziewczynka mnie objęła.

– Nic nie może się równać miłości pieska – szepnęła do Ethana.

– Jest bezwarunkowa – przytaknął, głaszcząc mnie po czole.

Zamknąłem oczy i rozkoszowałem się ich pieszczotami.

– A teraz mamy do ciebie wielką prośbę, Bailey. Tak wielką, że tylko ty możesz ją spełnić – powiedział do mnie Ethan.

– Ale to nic, jeśli ci się nie powiedzie. Dalej będziemy cię kochać i wrócisz tu do nas – dodała CJ.

– Powiedzie mu się. Komu, jak nie mojemu Baileyowi – odparł Ethan z szerokim uśmiechem. Ujął mój pyszczek w dłoń, niegdyś pachnące Farmą, a teraz tylko samym Ethanem. Wpatrywałem się w niego jak urzeczony, bo kiedy mój chłopiec do mnie mówi, czuję bijącą od niego ciepłą falę miłości.

– Muszę cię prosić, żebyś wrócił, Bailey. Wrócił i spełnił pewną obietnicę. Nie prosiłbym, gdyby to nie było ważne

Powiedział to poważnym tonem, lecz nie był na mnie zły. Ludzie bywają radośni, smutni, czuli, zagniewani i tak dalej, ale zazwyczaj potrafię odczytać ich uczucia po tonie głosu. Pieski na ogół są tylko radosne i może właśnie dlatego niepotrzebna nam zdolność mowy.

– Tym razem będzie inaczej, Bailey – poinformowała mnie CJ. Spojrzałem na nią i od niej też poczułem falę miłości i dobroci. Była jednak przemieszana z nutą niepokoju, jakiejs obawy, więc przywarłem do mojej dziewczynki, żeby mnie mocniej przytuliła i poczuła się lepiej.

– Nie będziesz niczego pamiętał. – Ethan mówił teraz cicho. – Żadnego ze swoich wcieleń. Mnie, Farmy i tego miejsca też nie.

– Może nie tyle pamiętał – poprawiła go CJ – ile czuł. Przeszedłeś tak wiele, że odrodzisz się jako bardzo mądra psinka, Bailey. Stara dusza.

– Trudność polega na tym, Koleżko, że nie będziesz pamiętał nawet mnie. Razem z CJ wyparujemy z twojej pamięci.

Ethan był smutny, więc polizałem go po rękę. To właśnie ludzki smutek jest powodem istnienia psów.

CJ mnie pogłaskała.

– Ale nie na zawsze.

Ethan skinął głową.

– Tak jest, Bailey. Nie na zawsze. Kiedy zobaczymy się następnym razem, nie będę tak wyglądał, ale rozpoznasz mnie i wszystko sobie przypomnisz. Każde swoje życie. Każde wspomnienie. I może wtedy zrozumiesz, że jesteś psim aniołem, który dopomógł w spełnieniu bardzo ważnej obietnicy.

CJ poruszyła się niespokojnie i Ethan na nią spojrział.

– Powiedzie mu się – powtórzył. – Komu, jak nie mojemu Baileyowi?

## *Jeden*

**N**a początku było tylko życiodajne mleko Mamy i bezpieczne ciepło jej sutków, kiedy je ssałem. Dopiero po pewnym czasie, gdy zaczęło do mnie docierać, gdzie jestem, uświadomiłem sobie, że mam rodzeństwo, z którym muszę rywalizować o jej względy. Bracia i siostry tłoczyli się wokół mnie, próbując odepchnąć od źródła. Ale Mama mnie kochała; czułem to, kiedy trącała mnie pyszczkiem i wylizywała do czysta. A ja kochałem ją.

Nasza nora miała metalowe ściany i podłogę, lecz w głębi Mama umościła nam ciepłe legowisko z miękkiej szmatki. Kiedy już trochę wyostrzył nam się wzrok i stanęliśmy pewniej, zaczęliśmy zapuszczać się w nieznaną, odkrywając, że podłoga pod naszymi łapkami jest nie tylko twarda i śliska, ale i zimna. Na posłaniu było dużo przyjemniej. Za dach służyła nam cienka plandeka, która trzepotała i szeleściła na wietrze.

Ale nic nie mogło się równać intrygującej prostokątnej dziurze na przodzie, przez którą wlewała się upojna mieszanka światła i zapachów z zewnątrz. W tym miejscu podłoga wystawała z nory. Mama często zbliżała się



do tego okna na nieznane, skrobiąc pazurami wychodzącą na świat półkę, po czym... znikła.

Wyskakiwała na światło i ulatniała się, pozostawiając po sobie chłód. My, szczeniaki, wtulałyśmy się wtedy w siebie, żeby było nam ciepło, popiskując dla towarzysztwa, i w końcu zasypialiśmy. Jak wyczuwałem, moi bracia i siostry bali się tak samo jak ja, że Mama już nigdy nie wróci, ale zawsze wracała, materializując się w prostokątnej dziurze równie nagle, jak znikła.

Gdy wzrok i koordynacja ruchowa poprawiły nam się jeszcze bardziej, zebraliśmy się na zbiorową odwagę i podreptaliśmy za jej zapachem na gzyms, choć ta przystępna okazała się szalenie niebezpieczna. Pod nim rozciągał się oszałamiający, hipnotyczny świat pełen szans, ale wkroczenie w niego oznaczało skok z nieziemskiej wysokości. Nasza nora znajdowała się dosłownie nad ziemią. Jak Mamie udawało się zeskakiwać i z powrotem do nas wskakiwać?

Jednego z braci nazywałem w myślach Ciężkim. Z resztą rodzeństwa zajmowaliśmy się głównie spychaniem go sobie z drogi. Gdy się po mnie wspinał, żeby zasnąć na szczycie szczytującego kopca, miałem wrażenie, że chce rozplaszczyc mi głowę, a wygramolenie się spod niego było nie lada sztuką, zwłaszcza że jednocześnie musiałem radzić sobie z resztą rozpychającego się rodzeństwa. Miał taki sam biały pyszczek, pierś i czarnoszary tułów w białe cętki jak my wszyscy, ale jego kości i ciało były, nie wiedzieć czemu, cięższe. Kiedy Mama chciała od nas odpocząć i wstawiała, Ciężki zawodził

najdłużej ze wszystkich i wiecznie domagał się mleka, nawet gdy reszta szceniąt najadła się już do syta i była gotowa do zabawy. Po prostu nie mogłem się nie irytować jego zachowaniem; Mama była tak wychudzona, że aż wystawały jej kości, i w jej niezdrowym oddechu czuć było zgniliznę, podczas gdy Ciężki był pulchny i okrągłutki, a mimo to bezustannie wołał jeść.

To właśnie on pewnego razu za bardzo zbliżył się do krawędzi gzymsu, łapiąc jakiś trop na wietrze; widocznie nie mógł się już doczekać powrotu Mamy, żeby wysać z niej resztę życia. W jednej chwili balansował niebezpiecznie na krawędzi, a w następnej już go nie było, bo spadł i naszych uszu dobiegło głośne „łup”.

Pomyślałem sobie, że może to i dobrze.

Spanikowany, zaczął piszczeć wniebogłosy. Jego przerażenie udzieliło się i nam, więc też zaczęliśmy płakać i popiskiwać, trącając się noskami dla dodania sobie otuchy.

Wtedy poprzysiągłem sobie, że nigdy nie wejdę na gzyms. Oznaczał niebezpieczeństwo.

Nagle Ciężki zupełnie umilkł.

W norze błyskawicznie zapanowała cisza. Czuliśmy, że to, co go dopadło, może przyjść i po nas. Drżąc ze strachu, wtuliliśmy się w siebie, ale nawet nie pisnęliśmy.

Przy wtórze głośnego drapania pazurami na gzymsie pojawiła się Mama z rozgoryczonym Ciężkim w zębach. Umieściła go w środku naszej gromadki i oczywiście od razu zaczął się domagać sutka, w ogóle się nie

przejmując, że przed chwilą przestraszył nas na śmierć. Z pewnością nie ja jeden uważałem, że nie byłaby to dla nas wielka strata, gdyby Mama po prostu go tam zostawiła, aby poniósł konsekwencje swoich czynów.

Tej nocy umościłem się na jednej z sióstr i oddałem rozmyślaniom nad nauką płynącą z tej przygody. Gzymś na przodzie nory był miejscem niebezpiecznym, niewartym ryzyka dla zgłębienia soczystych zapachów świata zewnętrznego. „Trzymając się legowiska” – rozumowałem – „będę całkowicie bezpieczny”.

Jak się okazało kilka dni później, byłem w ogromnym błędzie.

Mama drzemała, odwrócona do nas grzbietem. Mojemu rodzeństwu, a zwłaszcza Ciężkiemu, to się nie podobało, bo przyzywał nas smakowity zapach z jej sutków i mój brat znowu domagał się mleka. Żadne z nas nie było jednak wystarczająco silne czy sprawne ruchowo, żeby przez nią przejść, a ona wcisnęła się w najdalszy kąt nory, blokując do siebie dostęp głową i ogonem.

Nagle podniosła pyszczek na dźwięk szumiącej maszyny, który czasami docierał do nory. Dotychczas pojawiał się i szybko znikał, ale tym razem był blisko i to, co go wydawało, w pewnej chwili przystało. Usłyszeliśmy trzaśnięcie, a zaniepokojona Mama wstała i postawiła uszy, podnosząc głowę elastyczny dach.

Coś się zbliżało – ciężkie stąpanie było coraz głośniejsze. Mama przycisnęła się do tylnej ściany nory, a my poszliśmy w jej ślady. Wszyscy zapomnieliśmy o mleku, nawet Ciężki.

Światło wlewające się przez prostokątną dziurę odciął jakiś mroczny cień, rozległ się głośny łoskot i nagle krawędź świata została zatrzaśnięta, a my znaleźliśmy się w pułapce bez wyjścia. Mama dyszała, strzelając białkami oczu, i już wiedzieliśmy, że zaraz stanie się coś strasznego. Próbowaliśmy przecisnąć się przez jeden z boków nory, ale dach był naciągnięty zbyt nisko; udało jej się tylko wystawić nos na powietrze.

Podłogą zakołysało, rozległo się kolejne trzaśnięcie, aż podłoże zaczęło wibrować pod naszymi łapami przy wtórze ogłuszającego ryku. Norą szarpnęło i całą dzieciarnię rzuciło na jedną stronę. Łapy rozjeżdżały nam się na śliskiej metalowej powierzchni. Spojrzałem na Mamę, która wbiła w nią pazury, żeby się nie przewrócić. Nie była w stanie nam pomóc. Całe moje rodzeństwo zanosiło się płaczem, próbując się do niej dostać, ale ja zostałem na miejscu, walcząc o utrzymanie równowagi. Nie pojmowałem, co mną tak rzuca; wiedziałem tylko, że jeśli Mama się boi, to ja powinienem umierać ze strachu.

Telepanie, podskakiwanie i trzęsawka trwały tak okropnie długo, aż zacząłem myśleć, że odtąd w ten sposób będzie wyglądało moje życie, że Mama już zawsze będzie sparaliżowana strachem, a mną będzie rzucało na prawo i lewo. Nagle nora wyhamowała i wszyscy wylądowaliśmy w kotłownianinie na tylnej ścianie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki hałas i miotające nami siły ustały. Nawet wibracje się uspokoiły.

Mama wciąż się bała. Patrzyłem, jak na trzaśnięcie metalu o metal robi się czujna i błyskawicznie odwraca

głowę do miejsca, w którym wcześniej był gzyms, a z którego teraz dobiegał jakiś chrzęst.

Umierałem ze strachu, widząc, jak obnaża kły. Moja spokojna, łagodna matka zamieniła się w dzikie, wściekłe zwierzę ze zjeżoną sierścią i zimnymi oczami.

Gzyms z łoskotem wrócił na miejsce i nagle naszym oczom ukazała się sylwetka mężczyzny. Instynktownie poczułem, że nie jest mi obcy; zupełnie jakbym czuł na sobie jego dotyk albo go pamiętał, choć przecież nigdy wcześniej nie widziałem podobnego stworzenia. Zauważyłem krzaczaste włosy pod nosem, okrągły brzuch i zaskoczony spojrzenie.

Mama skoczyła do przodu, kłapiąc zajadle zębami i ostrzegawczo szczekając.

– Aaa! – Zszokowany mężczyzna się cofnął, znikając z pola widzenia. Mama nie przestawała szczekać.

Moje bezradne rodzeństwo zamarło, sparaliżowane strachem. Mama zaczęła się cofać w naszą stronę ze zjeżoną sierścią, położonymi po sobie uszami i cieknącą z pyska śliną. Biła od niej wściekłość matki chroniącej młode; ja to czułem, moje rodzeństwo to czuło, a biorąc pod uwagę reakcję mężczyzny, bez wątpienia on też to poczuł.

Nagle podskoczyliśmy na dźwięk trzaśnięcia i gzyms na powrót zniknął, odcinając dopływ słońca. Od całkowitej ciemności ratowało nas przyćmione światło przebijające przez cienki dach.

Zapadła cisza, która wydawała się głośniejsza niż wcześniej. W półmroku widziałem, jak Mamy szczekają.

jak gromadka szczeniąt się rozbija i rzuca na nią, szukając sutka dla ukojenia skołatanych nerwów. Z westchnieniem dała za wygraną, kładąc się i spełniając ich rozgorączkowaną prośbę.

Co tu się właśnie stało? Mama się bała, ale przemieniła strach w coś dzikiego. Tamten mężczyzna też się bał, lecz tylko wydał z siebie okrzyk zaskoczenia. A ja byłem dziwnie spokojny, jakbym rozumiał coś, czego moja matka nie pojmowała.

Choć to nieprawda. Niczego nie rozumiałem.

Po pewnym czasie Mama podeszła do miejsca pozostałego po gzymsie i zaczęła je obwąchiwać. Przycisnęła głowę do plandeki, lekko ją unosząc, aż do nory wpadł snop światła. Zaskomlała cicho, mroząc mi krew w żyłach.

Nagle usłyszeliśmy chrzęst, który skojarzył mi się z tamtym mężczyzną, a potem jakieś głosy:

– Chcesz zajrzeć?

– Nie, jeśli jest wściekła, jak mówisz. Ile może być tych szczeniaków?

– Z sześc. Nie zdążyłem policzyć, bo się na mnie rzuciła. Myślałem, że wyrwie mi rękę.

Stwierdziłem, że to rozmawiający ze sobą mężczyźni. Było ich dwóch, tak wyczułem po zapachach.

– Po co w ogóle zostawiłeś otwartą kłapę?

– Nie wiem.

– Potrzebujemy tej furgonetki. Musisz pojechać po sprzęt.

– Tak, ale co ze szczeniakami?

- Do rzeki z nimi. Masz strzelbę?
- Co? Nie, nie mam żadnej strzelby, na miłość boską.
- Mam pistolet w bagażniku.
- Nie chcę strzelać do gromady szceniąt, Larry.
- Pistolet jest na matkę. Kiedy jej zabraknie, natura sama zrobi porządek ze szczeniakami.
- Larry...
- Rób, co mówię.
- Tak jest.
- I gra gitara.



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

**[www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl](http://www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl)**

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



ul. Andersa 40A  
15-113 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059